

Stefan Treugutt

Marzenia o autonomii człowieka

Teksty : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 6, 166-169

1972

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Triumfujący racjonalizm Pawła Valéry'ego, świadomość władzy nad sobą i nad własnym dziełem kryje coraz to dochodzące do głosu poczucie zagrożenia, ludzkiej kruchości opancerzanej wciąż na nowo wznoszonymi formami. Uniwersalizm, którym tak się rozkoszuje we *Wstępie do metody Leonarda da Vinci*, jest nie tyle radosną ekspansją w świat, ile ruchem introwersji, powrotu do siebie i zabiegiem redukcyjnym. Wszystko sprowadza się do jedynej rzeczy, na której możemy polegać — do operacji umysłu odszukującego wszędzie te same prawidłowości, prawidłowości własnego działania. Twórca żyje w wąskiej przestrzeni wyznaczonej jakby przez dwa lustra: rzeczy, które mu odsyłają odbicie jego własnej myśli, i odbiorców, „amatorów dobrej literatury”, dla których i razem z którymi konstruuje tę wątłą budowlę, gdzie zamknięta została cała nasza godność i cała nadzieja, i jedyna dostępna nam postać wolności.

Ewa Bieńkowska

Marzenia o autonomii człowieka

David Riesman oraz Nathan Glazer i Reuel Denney: *Samotny tłum*. Przełożył i wstępem opatrzył Jan Strzelecki. Warszawa 1971 PWN, ss. XXVI, 1 nlb., 410, 1 nlb., 1 ilustracja. Biblioteka Socjologiczna.

Czasami pojawia się w moim mieszkaniu przyjaciel z dawnych lat — człowiek o wielkim talencie w trudnej specjalności — nie zawsze jest nietrzeźwy, ale prawie zawsze wspomina o swej chorobie, chorobie na alkoholizm, o tym, jak go ostatnio kurowali w zakładzie specjalnym, albo o tym, że się znowu do takiego zakładu wybiera. Jego rzeczowe uwagi na temat własnej „choroby” wprawiają pewnie nie tylko mnie w przygnębiające rozdrażnienie. Po prostu jest „chory”, zwyczajnie chory i nawet się leczy — i wszystko właściwie w porządku, na takie losowe sprawy, jak choroba, rady przecież nie ma, pomóc tu może medycyna, nie zaś jakieś tam archaiczne metody, wyciągnięte z rupieciarni zesłowiecznego woluntaryzmu, jak dobre postanowienia, samodzielne zerwanie z nałogiem, moralna chęć rekonstrukcji czy inne takie dyrdymałki. Bo pomyślmy: alkoholizm jest rzeczywiście chorobą, są naukowe metody leczenia, co więcej, społeczny obowiązek leczenia, są jawne pożytki traktowania alkoholizmu jako choroby — i jest coś jednocześnie degradującego w takim chorobowym urzeczowieniu własnego niedomagania, coś z nazbyt łatwego usprawiedliwienia, rozgrzeszenia... Jakże dobrze można uzasadnić łykanie uspokajających specyfików stanem zdrowia, warunkami pracy, naturalną ner-

wowością, jak niezauważalnie leczenie z kłopotów życia zmienia się potem w leczenie z prozkomanii. Nie wolno nam nie wierzyć w naukę, bo tego nas nauczyli propagatorzy i popularyzatorzy nauki, ale czy dobra nawet książka o fizjologii życia seksualnego jest akurat najlepszą lekturą dla młodego, zakochanego osobnika? Czy dla żyjącego jako tako normalnie człowieka we współczesnym społeczeństwie akurat najlepszą lekturą jest socjologiczna analiza zachowań człowieka we współczesnym społeczeństwie...

Z ponurego a nawet i groźnego ekshibicjonizmu nauki o zachowaniach człowieka zdaje sobie sprawę uczonego miary Davida Riesmana. Gdy stwierdza, że dotąd badacze zajmowali się nade wszystko społecznym charakterem wytwórcy i że dopiero kierują uwagę na człowieka jako konsumenta (pisane przeszło 20 lat temu, teraz aż w nadmiarze opisuje się analitycznie te sprawy, posługując się kategorią konsumpcji bądź jako straszakiem, bądź jako zachętą), i że jeszcze mniej wiemy naukowo o zjawisku zabawy, to dodaje z godną podziwu samorefleksją: „Człowiek bawiący się czeka dopiero na swego Kolumba. Czy jednak nakłanianie do badań nad zabawami człowieka jest rzeczą rozsądną? Przecież może to doprowadzić do zwiększenia publicznego nadzoru nad dziedziną, w której panować powinna dyskrecja i swoboda? A może zmowa milczenia wokół spraw czasu wolnego i zabawy jest ich najlepszą ochroną?”

Po tej krytycznej refleksji nie rzuca jednak Riesman maszyny do pisania, tak jak wyszkolony żołnierz nie przestaje wykonywać zadań pod wpływem pacyfistycznego wspomnienia pokojowej sielanki. David Riesman nie jest jednak zrutynizowanym wojownikiem socjologicznego frontu nauki i jego świetna książka jest nie tylko serią opisów zachowań, jest nie tylko detektywistycznym wykrywaniem reguł gry, której przedmiotem jesteśmy my, żywi ludzie, ale autor ma całkiem autentyczne poczucie własnego człowieczeństwa — a więc i człowieczeństwa innych. „Musimy uprzytomnić sobie — pisze — że każde życie jest rodzajem stanu wyjątkowego; zdarza się tylko raz i ocalenie jego indywidualnego charakteru usprawiedliwia troskę i wysiłek”. Zdanie godne misjonarza! Dlatego pewnie Jan Strzelecki, tłumacz i kompetentny przedmówca polskiego wydania *Samotnego tłumy*, zwraca uwagę, że książka ta jest jakby stopem dwu typów widzenia i przedstawiania tematu, że obok temperamentu naukowego zagrał także temperament artystyczny uczonego badacza. Ten bardzo delikatnie zapisany zarzut — a w każdym bądź razie wskazanie na ekstrawagancję w sposobie pisania książki naukowej — niech świadczy, jak dalece w pewnych dziedzinach nauki o człowieku rygory myślenia ścisłego wypierają to wszystko, co by mogło mieć charakter syntezy projektującej, co by do opisu technik dodawało szczyptę problematyki wartości, a przynajmniej zawierało osobiste zdanie autora na ten temat. To już arcyzm, czyli nieodpowiedzialność, nawet dla humanisty tak przeżartego etyczną korozją, jak

Jan Strzelecki. Wykryć reguły gry społecznej, opisać zachowania typowe, określić przyczyny i stopień odchyłeń indywidualnych, co najwyżej ulepszyć przy pomocy dobrych receptur funkcjonowanie mechanizmu społecznego, oto wzniosłe zadania tych panów, oto „eschatologia” czasu drugiej rewolucji przemysłowej, godna blacharza i monterka samochodowego. Na szczęcie maszyneria jest tak skomplikowana, że opisy są niedokładne, reguły gry są modelową fikcją, dobre rady uczonych zaś nie trafiają na ogół do przepracowanych uszu ludzi z ekip kierowników (gdyby socjologiczne donosy chociaż po części były zrealizowane...!). Alkoholizm jest stanem chorobowym, zgoda, niech będzie skutecznie leczony, ale żadna diagnoza i terapia nie zlikwiduje moralnych problemów pijaństwa. Kryzys osobowości ma swe odpowiedniki w chemii fizjologicznej i w mechanice społecznych przesunięć, ale do statystyki zachowań społecznych i do rachunku prawdopodobieństwa zredukować się nie da. Wie o tym policjant, ksiądz, sędzia, a więc praktycy od kryzysów osobowości — czasem wie o tym również badacz naukowy życia społecznego. Czasem bywa tedy „artystą”, co ma go usprawiedliwić w opinii własnej grupy zawodowej. Grupa zawodowa uczonych wie, że eschatologia nie należy do nauki, że jest moralistycznym marzycielstwem, i że uczony analizuje moralistykę eschatologiczną, choć sam przecież nie jest moralistą. Ale nauka całkiem bez eschatologii czym jest... lepiej nie mówić dokładniej.

Książka Riesmana zajmuje się przede wszystkim diagnostyką i projektowaniem sytuacji w USA. Książka niebawem liczyć będzie sobie ćwierć wieku i tak samo odegrała dużą rolę w myśleniu naukowym, jak i poddana została zasłużonej krytyce. Związły i celny rejestr błędów Riesmana-diagnostyka odnajdzie polski czytelnik we wstępie Jana Strzeleckiego. Do krytyki iluzorycznych poglądów, jakoby władza roztopiła się w Stanach wśród konkurujących grup nacisku, dochodzi to jeszcze odporne wobec też Riesmana przeświadczenie, iż historyczna i współczesna rzeczywistość nie da się sprowadzić do tak efektownego, trójdzielnego uschematyzowania, a mianowicie na społeczności sterowane tradycją, społeczności tzw. wewnątrzsterowane i zewnątrzsterowane. Riesman pisał najlepsze strony swych analiz wedle materiału zebranego wśród amerykańskiej klasy średniej, na użytek też tej właśnie społeczności proponował środki zaradcze, a to w postaci zachowania względnej autonomii. Dobudowana natomiast do jego też partia historyczna, ujmująca w kategoriach uniwersalnych fazy rozwoju społecznego, a także liczne wywody szczegółowe mają mieć zastosowanie nie tylko do osobników z amerykańskich klas średnich, ale do całej populacji USA, więcej, jakby do wszystkich społeczeństw. Nie ulega wątpliwości, iż społeczeństwo tak złożone i obszerne, jak współczesna Ameryka, jest ogromnym laboratorium, i że z racji zaawansowania technicznego wyrastające tam problemy stają sukcesywnie przed innymi społeczeństwami — lub

mogą przed nimi stanąć. Niemniej takie obiecywanie nam wszystkim Ameryki i straszenie Ameryką jest w sumie przesadą i przykładem zadufanego w sobie amerykocentryzmu.

Denerwująca zaś strona książki — dla niespecjalisty, specjaliści odznaczają się w tej mierze kompletną atrofią wyobraźni — polega oczywiście nie na obawach przed amerykańską konsumpcją i amerykańskimi kłopotami z konsumpcją, ale na tym, iż czytając dajemy się wciągnąć i rozważamy całkiem osobiście, ekshibicjonistycznie, ile w nas samych i naszych zachowaniach tradycyjnej staromodnej „wewnątrzsterowności”, ile zaś również groźnej, zabijającej indywidualność „zewnątrzsterowności”. Trzy bowiem Riesmanowskie fazy rozwoju przecinają schematowo wszystkie społeczeństwa na formacje przedkapitalistyczne (sterowane tradycją), na czas po pierwszej rewolucji przemysłowej, charakteryzujący się indywidualizmem, liberalizmem ekonomicznym i stawianiem sobie ambitnych celów tak produkcyjnych, jak moralnych (społeczność wewnątrzsterowna), oraz na najnowszą formację (zewnątrzsterowną), która żyje w dobie masowych środków przekazu, przeżywa drugą rewolucję przemysłową, nastawiona jest na konsumpcję i męczące upodobnianie się do otoczenia. I myśl tu człowieka, złapany przez autora w syntetyczną uniwersalność wywodu, ile w tobie przystosowań tradycyjnych, mechanicznych, ile z kolei idiotyzmu purytańsko-karierowiczowskiego, paskudnej samoobłądy, ile udawanej przyjaźni do ludzi w imię najnowocześniejszego konformizmu grupowego, czy jesteś bardziej kierowany „żyroskopem” mitów starych, czy „radarowym urządzeniem” przystosowań do mitologii współczesnej. Denerwujące. Dlatego z tak osobistymi odruchami niechęci czytałem książkę Riesmana. To książka świetna, bo zmusza do tak naiwnych, niecodziennych przy lekturach naukowych, osobistych refleksji i zdenerwowań. To co w niej najbardziej wątpliwe, ów syntetyczny rozmach i uniwersalizm, to najbardziej wciągające i najcenniejsze.

Trzy fazy zbudowane są oczywiście wedle dobrej tradycji europejskiego myślenia, przede wszystkim wedle systemowych historiozofii romantycznych. Tam też z reguły były trzy fazy rozwoju ludzkości, pierwsza zwykle do narodzenia Chrystusa, druga do rewolucji francuskiej, trzecia miała się zacząć. To trójkowe myślenie zapowiadało wielkie rzeczy, całkowitą przebudowę życia społecznego i doskonałość człowieka. Riesman, szlachetnie broniąc ludzkiej indywidualności, obiecuje bardziej osobisty stosunek do wolnego czasu, zabawy, obiecuje nie dorosłość rodzaju ludzkiego, ale dzieciadę. Żalotne. Romantycy byli mniej naukowymi od Riesmana. Ale o człowieku myśleli serio. Społeczeństwo było dla nich czymś żywym. Jeszcze nie umieli się nim tak modelowo bawić ani rozbiierać na części składowe.